Lwów, 7. Grudnia. Nr 146. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1 ½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XVI.

(Ciąg dalszy.)

Uciekłszy niegdyś z nad brzegów Dniestru, przyniósł Kamil tylko dwie z sobą własności nad brzegi Sekwany. Jedną z nich była jego polityczna idea a druga miłość dla Dziwożony. Pomiędzy ideą i uczuciem powinny były przynajmniej z początku staczać się walki zawzięte, ale nie staczały się żadne, bo jego idea była także więcej uczuciem niż czystą myślą i to uczuciem tak wielkiem, tak obejmującem wszystko pod swoje skrzydła olbrzymie, że objęła także i owe mniejsze i do jednej duszy ludzkiej tylko przywiązane uczucie. I miłość jego przytuliła się do owej wielkiej idei i pod jej opieką żywiła się okruszynami spadającemi z jej stołu. Kamil był przywiązany do tego uczucia i lubił jego wspomnienie. Nie podsycał go nowemi nadziejami, bo rzecz była skończona i po zamęściu Adeli nie było już żadnych nadziej; nie poświęcał temu uczuciu wiele czasu, bo go nie wiele miał do stracenia; jednakże zawsze w chwilach wolnych, samotnych powracał sercem w kraj ruski, w ową smętną nad-dniestrzańską rainę, w ową puszczę odwiecznych lasów, w pośród której stał letni pałacyk z blaszanemi dachami i nad której brzegiem od wschodu wyciągał się ów dziki jar pogański z owym dębem starym, wypalonym we wnętrzu, ukochanym świadkiem i opiekunem jego pierwszej miłości.

Tem wspomnieniem często zabawiał się Kamil a to uczucie było dla niego tak świętem i tak je w sobie szanował, że nigdy kobieta inna nie zajęła jego wiernego serca, żadna nawet nie zwróciła na siebie jego uwagi. Na tej drodze Adela była u niego bóstwem, tak stojącem wysoko nad całym kobiet rodzajem a jego uczucie dla niej było w jego oczach tak wyniosłem i świętem, że zdawało mu się, iż-by się był spodlił w obec siebie samego, gdyby był choć na chwilę inną kobietę z tamtą porównał i do podziału tego uczucia przypuścił.

W takiem usposobieniu pod tym względem przetrwał on wszystkie swoje prace, nadzieje, boleści, zawody i w takiem usposobieniu dotrwał aż do tej chwili, w której owa wieść krwawa z kraju złamała ostatnią gałązkę jego ulubionej idei, jego wiary i głównej treści jego żywota. Po powstaniu z choroby zrobiła się w jego duchu jakeśmy to już powiedzieli powyżej, wielka próżnia, czczość i chwilowe nicestwo, — a w tej próżni odezwało się owo uczucie pielęgnowane z taką troskliwością przez wszystkie lata wygnania. Idea-opiekunka padła śmiercią doczesną a z pod jej skrzydeł wyleciało owo pisklę potulne i zaczęło się zrywać do lotu. Kamil odżywił w sobie owo wspomnienie miłości i zaczął się niem zajmować z coraz większą lubością. Wolny i swobodny zupełnie, oddalony od świata, próżen myśli i wszelkiej innej nadziei, zaczął żyć temi wspomnieniami młodości, zaczął wskrzeszać jego cienie pomarłe, ożywiać je nowemi barwami i świeżą krwią napawać ich zakrzepłe arterye. I przywiązał się do nich takiem samem uczuciem i pokochał je z takim fanatyzmem, z jakim się przywiązał do wszystkiego, co trafiło do jego serca. Odtąd tylko blada postać jego błąkała się po Paryżu a dusza jego i serce zamieszkały nad Dniestrem, powtarzając przed swemi oczyma wszystkie sceny owego dramatu, którego duszą była czarująca Adela a ofiarą młody, nieszczęśliwy wygnaniec.

Ale tak jednak nie było długo. Kamil już zanadto był mężem, zanadto wiele miał już do czynienia z rzeczywistością, ażeby puste marzenia mogły mu do życia wystarczać. I jakkolwiek nie mógł mieć pewnej nadziei, że znajdzie, począł jednak szukać jakiegoś punktu oparcia w rzeczywistości dla swoich marzeń, w którym-to celu, lubo w owym czasie jak najstaranniej unikał wszelkiej wiadomości z kraju, teraz jednak począł dopytywać się o nie i gonić za niemi. Ale długi czas minął i nie przyniesiono mu nic takiego, co-by się odniosło do Edmunda lub do Adeli.

O tem małżeństwie nie wiedział on nic prawie dotychczas. Doniósł mu raz ojciec w jednym liście, który doszedł rąk jego, że Edmund się ożenił z Adelą; drugi raz ktoś ze znajomych mu wspomniał, że widział Edmunda w Londynie i rzucił ten domysł, że musi niedobrze żyć z żoną, bo był tam bez niej i mieszkał czas dłuższy, — ale też to było już wszystko, o czem mógł się dowiedzieć. Teraz, szukając tych wiadomości, nie wiele więcej ich znalazł a przynajmniej nic tak pewnego ani ważnego, co-by mogło zmienić jego dotyczasowe uczucia lub myśli.

Aż jakoś około jesieni przyjechał ktoś z kraju i opo-

wiedział mu z wszełką pewnością, że Adela dawno już rozwiedzioną jest z mężem i mieszka we Lwowie.

— Adela rozwiedziona! Adela wolna! Krzyknął z szaloną radością Kamil i niepytając o żadne inne szczegóły, oddał się najrozkoszniejszym marzeniom o swojej możliwej przyszłości. Wrócić do kraju, ożenić się z kochanką pierwszych dni młodocianych, zamieszkać na jakichś dobrach ładnych, zakupić się mających, używać szczęścia, spokoju, swobody pomiędzy swoimi, — była to myśl godna zająć sobą nawet skąd innąd dość szczęśliwego człowieka a cóż dopiero stęsknionego za krajem, zbitego dziesięcio-letnim smutkiem, zesmaganego tyloma zawodami i nie mogącego mieć już żadnej innej nadziei, tułacza!

Zaraz tedy dnia następnego pobiegł Kamil do swego dawnego pryncypała, ażeby jego rady zasięgnąć, jakim sposobem mógł-by pozyskać swobodę powrócenia do kraju. Pryncypał jego, zawsze życzliwy i przyjacielski dla niego, zajął się z żywą energią tą sprawą. Za jego też pośrednictwem trafił Kamil na drogi, na których skutecznie mógł począć starania, jeżeli nie wszystko, to przynajmniej wiele obiecujące. Starań tych wszystkich opisywać nie będziem, bo to nas nie obchodzi, wspomniemy więc tylko, że dobre świadectwa tamtejszego rządu i poselstw o jego sprawowaniu się we Francyi spotkały się ze staraniami Marszałkowej około tej samej sprawy w kraju, — i to mu przyniosło w pierwszych dniach Lutego upragnioną swobodę.

Dopiąwszy tak swego celu, zaraz w kilka dni potem Kamil wyjechał z Paryża. Zabrał on ze sobą wszystkie swoje zasoby i kosztowności i dla tego trochę dworniej wyglądał jego ekwipaż. Ale mniejsza o to wszystko, co wiózł ze sobą, przeciwko tej swobodzie umysłu, przeciwko tej nadziei wznoszącej jego serce, na wspomnienie ubóstwionej z całym ogniem pierwszej miłości i utraconej kochanki, którą teraz mógł posiąść na zawsze.

Przez całą też drogę nie marzył on o niczem innem, jak tylko o tej chwili, w której po raz pierwszy ujrzy Adelę, rzuci jej do nóg swoją miłość niepokalaną, swe skarby i na jej dłoni oprze głowę swoją, tyloma skołotaną boleści.

Z tą myślą, zamienioną w jego organizmie nerwowym w największe pragnienie, stanął on nareszcie we Lwowie. Wylazłszy z powozu, pierwszą jego rzeczą było spytać się o Adelę. Adelę znano dobrze naówczas w mieście, więc nie trudno mu się było dowiedzieć, że ta pani znajduje się tutaj, że jest od dawna rozwiedziona z mężem, że jest zdrową, piękną i ślicznie wygląda. Dowiedziawszy się tego wszystkiego, o nic już więcej nie pytał, tylko posłał czemprędzej jakiegoś sługę, ażeby się spytał o hrabiny mieszkanie i sam zwiesiwszy się na oknie, puścił wodze swoim wspomnieniom młodości, niegdyś pomiędzy murami tego miasta przeżytej. W krótce powrócił sługa i przyniósł dokładną wiadomość o pomieszkaniu Adeli, ale zarazem i zapewnienie, iż w tej chwili wyjeżdża z domu i nie powróci aż późno wieczorem.

Nie pozostało więc Kamilowi nic, jak uzbroić się w cierpliwość do jutra. Tymczasem zmrok gruby okrył miasto i nadszedł ów wieczór długi, zimowy, walczący z dniem o pierwszeństwo i odnoszący nad nim zwycięztwo po wszystkich stolicach. Kamil, przyzwyczajony do stołecznego życia, które nienawidzi słońca i zaczyna się dopiero z jego zniknieniem, począł się nudzić cokolwiek i z nudów dopytywać się, ażeli nie masz dzisiaj jakiego teatru, koncertu, balu publicznego lub czegoś podobnego, gdzieby mógł choć kęs wieczoru przepędzić, widzieć publiczność tego miasta, o którem tyle myślał podczas swej niebytności w kraju, spotkać tam którego ze swoich dawnych znajomych a może i ujrzeć Adelę. Powiedziano mu, że jest dziś koncert a po koncercie reduta, i wszystko to ma się odbyć w nowym teatrze Skarbkowskim, zbudowanym podczas jego pobytu we Francyi. I Kamil się zebrał i poszedł na koncert. Koncerta i różne inne nieprzeliczone spektakle owego czasu, nie można do niczego innego porównać, jak do cienkich i miękich chustek od nosa, które rzucano miastu, ażeby miało łzy czem ocierać: a że płaczących było wiele, więc i publiczność wielka zebrała się na koncercie. Kamil siedział na balkonie pierwszego piętra i przez szkła doskonale lustrował wszystkie loże kolejno. I szybko przesuwała się jego luneta od loży do loży, chociaż w każdej z nich były damy i młode i piękne i wykwintnością strojów jeszcze podnoszące swe wdzięki: aż nagle przy jednej zatrzymały się szkła jego i wlepiły się tak nieruchomie w jej wnętrze, jak perspektywa naczelnego wodza podczas bitwy w ów punkt czarny, ruchomy i co chwila rosnący, lecz jeszcze tak niewyraźny, że nie można powiedzieć z pewnością, czy z niego wywinie się hufiec nieprzyjacielski, czy sukurs dawno oczekiwany. Atoli Kamil, jakkolwiek długo patrzał na osobę siedzącą w tej loży, nie musiał być jednak pewnym, kogo tam widzi, bo niebawem opuścił rękę z lunetą ku ziemi, odwrócił się do sąsiada i zapytał uprzejmie:

— Nie mógł-byś mi pan z łaski swojej powiedzieć, kto siedzi w piątej loży pierwszego piętra po prawej stronie?

— W piątej loży po prawej stronie, — odpowiedział sąsiad z flegmą, wpatrując się w tę stronę, — siedzi..... Dziwożona.

— Dziwożona! zawołał Kamil tak głośno, że się nań ze wszech stron obejrzano, — cóż-to jest za nazwisko?...

— To jest tak sobie nazwisko, — odpowiedział znów sąsiad, wpatrując się z ciekawością w Kamila, — którem opinija publiczna udarowała tę damę natenczas kiedy nie

mogła już powrócić do swego familijnego a mężowskie straciła.

Na to Kamil odwrócił się od sąsiada i znowu wpatrzył w lożę Adeli a po chwili znowu zapytał:

— A proszęż pana... któż jest ten szpakowaty jegomość, któren siedzi przy niej i szepcze coś do niej?

— Ten jegomość? — powtórzył sąsiad, wpatrując się w lożę, — nie znam go, ale... będzie to zapewne jeden z jej wielbicieli.

— Jeden? — zapytał Kamil ciekawie, — to jest ich więcej?

Na to sąsiad spojrzał na Kamila, patrzał na niego przez kilkanaście sekund i nakoniec z uśmiechem zapytał:

— Pan Dobrodziej zapewne obcy jesteś w tem mieście?

— Tak prawie jak obcy....... dawno już nie byłem we Lwowie.

— Długoż myślisz tutaj zabawić?

— Zależy to od okoliczności, — odpowiedział zdziwiony tem trochę Łaski, — ale zapewne zabawię czas dłuższy.

— To będziesz miał jeszcze dość sposobności dowiedzenia się o wszystkiem....... ale ot! koncert się zaczyna, słuchajmy! — rzekł na to sąsiad i wymierzył szkła swoje ku scenie.

Ale Kamil ani spojrzał na scenę. Wpatrzył on się nieruchomie w lożę Adeli i z natężoną uwagą śledził każden ruch tego szpakowatego jegomości, który zdawał mu się za nadto starym na wielbiciela a za nadto zajętym i ożywionym na opiekuna. I długo tak Kamil przypatrywał się temu żywemu obrazkowi i chwilami jakiś dziwny niepokoj malował się na jego twarzy a nawet odbijał się w ruchach i to do tego stopnia niespełna że po pół godzinie, zaczęło to wracać uwagę z początku bliższych a potem i dalszych sąsiadów. Aż nareszcie i z lóż sąsiednich poczęły się zwracać szkła ku balkonowi i patrzeć wprost Kamila, któren oprócz swojemi nerwowemi ruchami, ściągał na siebie uwagę jeszcze i swojem futrem sobolem, tak bogatem i pięknem, jakie rzadko się dają widywać w tem mieście. Tymczasem kiedy się to działo, ów pierwszy sąsiad obrócił się całkiem do niego i wpatrując się weń z wielką uwagą, nakoniec zapytał:

— Pan zapewne musiałeś znać dawniej hrabinę Adelę?

— Ja? — zawołał na to wpół-głośno nie bardzo przytomny sobie w tej chwili Kamil, — tak..... być może..... ale to bardzo już dawno; — i widząc, że tem półgłośnem odezwaniem się zwrócił wszystkich oczy na siebie, wstał z swego miejsca, wsunął się wgłąb ciemnego kurytarzyka, stanowiącego wejście na balkon, i oparłszy się tam o ścianę, począł znowu z tem samem zajęciem patrzeć w lożę Adeli.

W krótką chwilę potem wszedł do tej loży jakiś dragon ogromny. Zdawał on się być majorem lub pułkownikiem i przy minie wojskowej zdradzał pańskie maniery, tak jak przy dwóch gwiazdach i kilku krzyżach na piersiach, obracając się tu i owdzie, pokazywał często dwa małe guziczki, oznaczające godność szambelańską. Gościa tego przyjęła Adela z owym znajomym uśmiechem, w którym była połowa grzecznego umizgu a połowa atencyi i zaraz zaczęła się bardzo ożywiona konwersacya. Atoli niebawem wpadł między nich jeszcze jakiś oficerek młodziutki, za nim dwie damy o bladych cokolwiek twarzach, lecz za to w mocno różowych kapeluszach a za temi damami znów jakiś młodzik goławąsy, wyfryzowany, z szkiełkiem w prawem oku i śmiechem wrzaskliwym na ustach. Jakoż zrobił się natychmiast wielki gwar w tej loży, — na próżno poczęto oczy do góry podnosić i sykać na parterze, na próżno świstnął ktoś na galeryi, napróżno nawet w głos mruczeć zaczęła cała publiczność,— gwar ten trwał ciągle: aż kiedy skrzypek, popisujący się przed publicznością, nagle urwał swoją Sonatę i umilkł, wszyscy goście Adeli wybiegli wraz z nią na kurytarz i loża się wypróżniła. (D. c. n.)

Wiewiórka.

U lwa wiewiórka służyła.
Nie wiadomo jak, naco? dosyć tylko wiedzieć
Że i wiewiórki służba może być lwu miła:
A to wcale nie fraszka przy królu lwie siedzieć!
Obiecano jej za to orzechów wór cały,
Obiecano — tymczasem dzień za dniem umyka
A biedną wiewióreczkę nieraz głód dotyka,
Tak, że prawie ze łzami ząbki jej kłapały.
Spojrzy na swe siostrzyczki i widzi stroskana
Z przodu, z tyłu, w górze, z boku,
Jak te żyjąc w swobodzie, i nie znając pana
Traszczą pełne orzeszki od świtu do zmroku,
A ona tylko patrzy, i oczkami mruga.
Chce wskoczyć na leszczynę... aż tu kusa rada!
A nuż wezwą do pana? spieszyć musi sługa,
Na krok ruszyć nie wypada.
Tak nakoniec biedaczka gdy się zestarzała
I sprzykrzyła się panu, wolność odzyskała,
A za wierne jej służby bez żadnej zakały,
Dano, jak przyrzeczono, wór orzechów cały.
Byłyżbo to orzechy! spojrzyć na nie miło,
Jakby wybrał, bez braku, ze wszemi zalety!
To tylko bieda niestety!
Że u naszej wiewiórki zębów już nie było.

A. P.

Orzeł i kapłon.

Orzeł Jowisza wzbiwszy się w obłoki.
Władcy piorunów sięgał już dzierzawy,
Śledząc oczyma lot jego wysoki,
Radował się ród ptasi pyszny z orła sławy.
„Niedarmo to pan niebios kocha tego ptaka!”
Zawoła kogut w zapale:

«Bo co za bystrość lotu, a odwaga jaka!
Patrzcie jak szybko krąży i buja wspaniale!
Kto mu wyrówna? —
›Kto? my, rzeknie kapłon na to,
Śmiałości tylko! a ręczę, ci za to?
Że obleciawszy wszystkie nieba końce,
Wzbijem się pod samo słońce.
Otóż natychmiast dam ci przykład z siebie!»
To rzekłszy kapłon, zamaszystym lotem,
Puścił się bujać po niebie,
I leci.. ale coż po tem?
Nie uszło minut kilka, z wielkiego rozmachu,
Padł jak ołów, i życie zakończył na dachu,

Dziękujmy kapłonowi, i z niego nauka,
Jak kończy głupi śmiałek, kiedy sławy szuka.

A. P.

SKROMNE NADZIEJE.

Powieść odporna.

(Ciąg dalszy).

Otoż ów grzech pychy, ów wymarzony ideał szczęścia na ziemi, ów nieokreślony pociąg żądnej jego duszy, nie było to nic innego, jak stałe i nieprzeparte przedsięwzięcie, dostania się na służbę do księcia, jak go nazywało pospólstwo, za podpalacza pieców.

Tylko tak smutna fantazya jaką miał Bazylek, mogła coś podobnego urodzić, a przecież to była myśl nader praktyczna, a mając ograniczenie Bazylka na względzie, nie możemy wiedzieć z pewnością, czy na tę myśl przyszedł zwierzęcym instynktem, czyli porodził ją w natchnieniu, czyli przyszedł do niej przez intuicyą.

Bądź co bądź, w czerwonej pałce raz zagnieżdżona myśl, tlała i paliła go, piekła i mordowała, nie dała spać w nocy, ani jeść we dnie; aż nareszcie obliczywszy się z sumieniem, stanął jednego rana przed panem swoim i rzekł:

— Mówiłeś dobrodzieju, że mam róść w górę, jak komin w plebanii, a ja dotąd jestem tylko piecem w piekarni, w którym smażą się wprawdzie różne smaczne pieczenie, gęś i baranina, pieką się bułki i pirogi, ale ja z tego nic nie mam. Wącham tylko i kwita na tem. Ja chcę leźć dalej, przynajmniej pod snopki, tam gdzie gołębie mają swoje gniazda. Chcę dobrodzieja opuścić, bo dobrodziej także jeszcze wysoko nie wylazłeś, a pójdę do takiego co już od razu wysoko się urodził.

— Malkontent, mruknął pod nosem pan jego, i nic więcej do niego nie mówił.

Zebrawszy się atoli kazał z sobą pójść Bazylkowi. Wyszli obaj na ulicę.

— Poczciwe panisko, myślał sobie Bazylek, zapewne idzie ze mną do samego księcia, aby mnie zarekomendować, i o łaskę dla mnie poprosić. Dobre panisko, szkoda że nie książę, bobym nigdy niebył odszedł od niego.

Śród takiego monologu zbliżył się Bazylek do magistratu, a choć widocznie się przekonał, że to nie będzie sprawa z księciem, jednak przeczucie kazało mu się spodziewać czegoś bardzo dobrego.

I nie zawiodło go. Zaledwie bowiem byli weszli do kancelaryi, pan jego szepnął coś urzędnikowi, a zanim Bazylek mógł tyle nowych wrażeń w swojej głowie uporządkować, już leżał na dębowej ławie, i począł liczyć bez liku.

Były to mospanie plagi, o jakich Bazylek nie miał dotąd wyobrażenia, bo niemogły iść w porównanie ani z kańczukiem ekonoma, ani z szturkańcem organisty. Było to coś tak nowego dla niego, tak się to jakoś odbywało w porządku i systematycznie, tak przechodziło jego dotychczasowe pojęcia, że od wielkiego podziwienia on zmysły utracił.

Przyszedłszy wreszcie po niejakiej chwili do zmysłów, pierwsza myśl jego była, upaść do nóg swemu dobrodziejowi, a poczuwszy się o winę dumy i niezadowolenia, prosić go o przebaczenie, i o dalsze jak dotąd względy. Gdy się atoli na wszystkie strony rozglądnął i nigdzie dobrodzieja nie znalazł, rzucił się ku drzwiom, aby pobiedz do jego domu. W tej jednak chwili uczuł się za kołnierz pochwyconym, a gdy się obejrzał, obaczył parę sażnistych wąsów, pałasz na czarnym rzemieniu i ogromny kij przyboczny. Przed każdą bronią miał Bazylek wstręt wrodzony, więc zakrywszy oczy, dał się prowadzić napastnikowi jak owca, idąca bez skargi pod nóż rzeźniczy.

Nie byłto wszakże nóż rzeźniczy, który zagrażał Bazylkowi, ale nudny, poniewolny odpoczynek. Zaprowadzono go bowiem do ciemnej turmy, włożono nań ciężkie kajdany i zamknięto drzwi aż na dwa zamki. Biedny, biedny Bazylek!

W głodzie i w ciemnościach począł Bazylek czuć skruchę za swoją niewdzięczność, czuł bolesne wyrzuty sumienia, płakał i tłukł głową o ścianę, chciał umrzeć lub usnąć, ale ani śmierć ani sen nie przyszły do niego. W końcu uspokoił się nieco, a przypomniawszy sobie, że organiście nieraz w godzinkach wtórować musiał, zebrał ile mógł przypomnianych melodyj, i począł śpiewać pieśń: „w utrapieniu-“

Uspokoiły go i uspiły podobne medytacye bogobojne, a gdy się przebudził, ujrzał przed sobą profosa, który mu powiedział, że pójdzie do swojej wsi rodzinnej — szupasem! —

— Szupasem! krzyknął i umilknął nagle, bo jakaś genialna myśl przeszla mu w tej chwili przez głowę. Wstał z rezygnacyą i poddał się swemu losowi.

Na pierwszej jednak stacyi swojej wędrówki przymusowej rozstał się w sposób angielski z swoim przewodnikiem, a sumienie swoje uspokoił tem, że większą zasługą

jest naprawienie popełnionego błędu, niżeli przekroczenie tak ohydnego wyroku.

Uciekał więc biedny jak mógł napowrót do Lwowa, o pół nocy przelazł przez zamkniętą rogatkę, niechcąc nigdy z prawej drogi zboczyć, i stanął pod drzwiami dawnego swego pana. Usłyszawszy pierwsze jego krząknienie wpadł do pokoju, klęknął przy łóżku i począł go z łzami przepraszać za swoją czarną niewdzięczność, i ofiarował mu napowrót swoją posługę.

Z rozczuleniem słuchał go filantrop, podniósł klęczącego przed łóżkiem, a uspokoiwszy go nieco, rzekł głosem uroczystym:

— Nie zawiódłeś moich nadziei, oczekiwałem tego. Owe plagi był to kamień probierczy twojej cnoty nieporównanej, byłto chrzest wzmacniający cię do nowego twego zawodu, namaszczenie na wyższy szczebel społeczeństwa. A więc pójdź, niech cię uczynię rycerzem nowego wyznania, które w tem zależy, abyś cierpliwie znosił, wyrządzone ci obelgi, całował rękę, która cię bić będzie, ściskał nogę, która cię kopnie, błogosławił kułak, który ci da szturkańca.

Bazylek nie mógł się od łez powstrzymać, i gdyby nie imię jego, tyle obiecujące, za ciężki pieniądz nie byłby się oddalił od swego dobrodzieja.

Toż wkrótce zebrał się pan jego, wziął paletot i parasol i wyszedł znowu z ukochanym swoim elewem. Tym razem rzeczywiście obaj poszli do księcia.

Dobrodziej Bazylka, aczkolwiek był już niejaką znakomitością, miał jednak zawsze o tyle skromności dla wyższych, że się w obec nich niżej stawiał, niżeli był w istocie. Więc nie poszedł do samego księcia, ale do jego kamerdynera, wstawiając się o przyjęcie rekruta. Wszystko, co na jego korzyść mógł powiedzieć, było to, że jest nader ograniczonego rozumu, a prawie pozbawiony wszelkich władz umysłowych, i przeto zdolnym jest i wybornym do wszelkiej posługi, która nie cierpi rozbioru krytycznego i uwag osobistych. Bezprzykładna wierność i przywiązanie cechują jego charakter, a ślepe bezwzględne posłuszeństwo wyszczególnia go nawet z pomiędzy tych, co umią słuchać i milczeć. Przy tak wybornych przymiotach nie posiada on ich świadomości, bo to co czyni, czyni z instynktu a nie z namysłu, a więc nie ma też i dumy ani zarozumiałości, która najwięcej nie przystoi tym, co służyć muszą.

Taki klejnot przyjął kamerdyner otwartemi rękami, i naznaczył mu miejsce w grubie od pieca, który ogrzewał pokój samego księcia.

Tym sposobem ujrzał się Bazylek znowu w popiele, a gdyby miał jakie wiadomości z literatury starożytnej i wspomnianej w niej „metampsychosis“, czyli wędrówkach duszy, która co 4,000 lat skończywszy swój cyklus, napowrót w dawne życie powracała, — myślałby, że już przeminęło owe 4,000 lat, i on napowrót do popiołu powrócił.

Tak jednak nie było. Wlazł on wprawdzie znowu w popiół, śmiecie i sadzę, ale były to już śmiecie książęce, które nie kalały, sadza, co nie smoliła, popiół co nie brudził, a chociaż twarz i ręce jego przeciwnie go przekonać mogły, wyobraźnia jego była jednak silniejszą niżeli najoczywistsza rzeczywistość.

To też marzył biedny Bazylek o podwojach książęcych, łapczywem okiem wglądał przez szpary drzwi i pieca, podsłuchiwał w kominie niezrozumianej mowy czarodziejskiej, a chociaż czasem jakiego szturkańca oberwał, to jakoś to sobie wyperswadował. A co to za roskosz była dla niego wyjść z cyfrą księcia na ulicę, i w dziwacznym swoim stroju służyć za widowisko zagapionych uliczników!

Wszakże duch jego, pod ognistą ukryty czaszką, nie zasypiał teraz na laurach, jak niejeden wódz po bitwie wygranej; był on nieustannie czynnym i ruchliwym, jak zwinny piskorz w błotnistym przekopie.

Niemiecka filozofia uczy nas, że w wszystkiem, co żyje, niemoże być nigdy stagnacyi a nawet śmierć sama jest tylko pozornym momentem stagnacyi, to jest chwilą, której potrzeba, aby koło, toczące się wprzód, obróciło się wtył, i rozpoczęło ruch wsteczny. Bo jak w każdem życiu jest nieustanna czynność, tak też zaraz po śmierci następuje znowu działanie wstecz, to jest rozkład byłego życia. Różnica między tem nieustannem działaniem jest w tem, że jedno działanie jest dodatnie, a drugie ujemne. A że Bazylek jeszcze nie był odumarł, więc działanie jego ducha musiało być dodatniem, czyli musiało naprzód postępować. To też postępował on w istocie naprzód, bo po kilkoletnim pobycie w grubie pieca książęcego, począł marzyć o wyższem stanowisku społeczeńskiem, o godności pokojowca.

Skromność każdemu się podoba, więc skromne nadzieje Bazylka zostały uwieńczone. Pewnego poranka tańcował on już po podłodze książęcej w najrozmaitsze zygzaki, szurując i woskując posadzkę, trzepiąc perskie dywany.

Ale raz wdrożony umysł w zapęd postępu, postępował szybko, jak koło, puszczone z góry przez rospustne dziecko.

Zaledwie bowiem kilka lat był pokojowcem, już zamarzył o białych kamaszach lokajskich, i przedsięwziął sobie, że to będzie ostatni szczebel owej drabiny Jakóbowej, z którego dostanie się wprost do nieba. Ale gwiazda jego szczęścia miała więcej w sobie oleju, jak myślał szczęśliwy Bazylek, i mimo jego chęci zaświeciła jaśniej. Zaledwo bowiem z niewypowiedzianą roskoszą naciągnął był białe kamasze, zaledwo upleciono mu z włosów czerwonych, teraz poczernionych, sążnisty harcap, już go czekały nowe awanse, nowe nadzieje.

Najwięcej do tego posłużyła mu jego brzydota i jego fenomenalna głupota. Był on tak estetycznie brzydkim,

że z uplecionym harcapem, z twarzą gładko obgoloną, z oczami chińskiemi, nosem murzyńskim, z ustami małpy, mógł służyć za typ ukończony bezładnych kształtów. A że niektórzy z wielkich panów odznaczali się tem, iż w swojej służbie umieszczali potwory ludzkie, jako to karły, olbrzymy, a nawet i niedźwiedzie, ta oryginalność Bazylka była właśnie tego rodzaju, że go czyniła do podobnych kaprysów egzemplarzem zbyt poszukiwanym.

Pokazał się Bazylek w kamaszach i z harcapem na ulicę, już ćma chłopców biegła za nim, w nadziei, że przybyły akrobata pocznie wywracać koziołki, skakać po linie, błaznować — a to tem pewniej, iżby to było: „na usilne życzenie publiczności.“

Książę tak go był sobie polubił z jego błazeństwa przyrodzonego, niewymuszonego idiotyzmu, tak się był przywiązał do jego manier małpich, tak odznaczajaym się widział go zawsze w zgrai swoich darmoidów, że rana jednego, będąc po obiedzie w dobrym humorze, uczynił go swoim naulubieńszym kamerdynerem. Bazylek padł plackiem do nóg książęcych, rozbeczał się na głos, a gdy pociągnięty harapem po plecach, na nogi się zerwał, zdawało mu się, że go pasowano na rycerza, że trzy łokcie w górę podrósł, że jak ów komin plebanii przebił wiązanie dachu i snopki, i dumnie głowę ukazał. Aby obraz komina uzupełnić, ukradł zaraz z książęcej szkatułki cygaro, a zapaliwszy go, chodził dumnie po ulicy, buchając dymem w prawo i w lewo, jak komin plebanii podczas niepogody!

O szczęście śmiertelnych! jak względna i niepewna jest twoja istota! Ileż to pysznych duchów zrzuca z siebie twoje słabe jarzmo, aby pójść tam, „gdzie wieczny płacz i zgrzytanie zębów!“

Tymczasem księciu znudziła się stolica. Nowe władze nie uwzględniały go należycie, jakto dawniej bywało, nie pozwalały mu czynić wybryków, a gdy co wypłatał, to nie pozwano go do sądów królewskich lub sejmowych, ale do pospolitego magistratu, gdzie pierwszemu lepszemu urzędnikowi musiał odpowiadać na zapytania, niezawsze unižone. W końcu zaprzeczono mu nawet tytułu książęcego, a blask jego magnacki pobladł, i tylko się świecił na guzikach liberyi. Złorzeczył stary książę nowemu porządkowi rzeczy, i wyjechał do swoich dóbr, aby tam być królikiem, jeżli mu w stolicy zabroniono być księciem.

Ale i na wsi sprzykrzyło się kasztelanowi, chciwemu burd i awantur; nie było bezkrólewia, ani elekcyi, ani sejmów inkwizycyjnych, ale były za to dziki i niedźwiedzie, sarny i kozły, lisy i jelenie. Wypowiedział więc wszystkiej grubej i cienkiej źwierzynie wojnę w lasach swoich, bił, strzelał, rąbał, że aż miło było, a z każdym tygodniem mnożyła się na jego dworze królewskim i tak liczna już psiarnia. (D. c. n.)

O przedruku Słownika Lindego.

(Dokończenie).

Jeżeli wydawcy lwowscy pragnęli rozszerzyć znajomość języka ojczystego, jeśli chcieli taniością ceny zrobić Słownik więcej dostępnym dla ogółu, czemuż nie naśladowali księgarni Behra, która jeszcze w roku 1847 ogłosiła w Berlinie, że wyda «Nowy Słownik języka polskiego» w trzech zwyczajnych tomach? Tam i cena była przystępniejsza, bo tylko 36 złp. za prenumeratą. Prospekt obiecywał skrócenie a razem i dopełnienie Lindego. Oto wyrazy autorów tego Słownika, którym niepodobna nieprzyklasnąć, tyle prawdy mają w sobie:

«Dwa są główne źródła wzbogacenia teraźniejszej potocznej mowy; język stary i dyalekta polskie. Nie wszystko w dawnej polszczyznie jest przestarzałem; wiele wyrażeń, wcale nie zastąpionych, nie zestarzawszy się, wypadło z użycia przez zaniedbanie, a dziś spotykane po książkach, ukazują się nam w całym wdzięku świeżości. Zebraliśmy je starannie ze słownika Lindego.

Robota około narzeczy polskich była trudniejsza, bo prócz Mrongowiusa do wyrazów kaszubskich, nie mieliśmy słownikarskich pomocy. Musieliśmy z piórem w ręku odczytywać poetów, zbiory pieśni gminnych, i wszystkie pisma noszące na sobie jakieś piętno miejscowe, a wreszcie radzić się własnej pamięci. Takimże trybem postępowaliśmy w dopełnieniu języka piśmiennego słowami od czasów Lindego przyjętemi, tudzież w zupełnem przerobieniu języka naukowego, który u zacnego słownikarza jest tak niedostatecznie niedokładnie i bez żadnego systemu spisany.

Oto są granice naszej pracy. Opuszczamy ze słownika Lindego całą część samych filologów obchodzącą, odrzucamy wyrazy zupełnie umarłe, jakoteż formy przestarzałe lub fałszywe wyrazów odrodzonych w innej postaci: z przykładów przytoczonych zachowujemy co nam ich potrzeba do określenia i odcieniowania znaczeń, do rozwiązania zagadnień o składni rządu. Powiększamy zaś niniejsze dzieło dużą liczbą wyrazów które Linde pominął, słownikiem narzeczy polskich, i nomenklaturą naukową.»

Wartość takiego podręcznego Słownika wybornie też autorowie tłumaczą:

„Może bez ubliżenia czytelnikowi, wolno powiedzieć cokolwiek o potrzebie takiej książki podręcznej. We wszystkich narodach, w szczególności zaś w Niemczech i w Anglji, podobne przewodniki zabawiają pierwsze lata młodości, wraz z katechizmem lub biblją. Zbyteczną już jest, sądzimy, dowodzić tej prawdy, którą moglibyśmy okazać na najulubieńszych pisarzach narodowych, że prawa językowe nie krępują geniuszu, ani błędy językowe dodają mu blasku. Chodzi o to gdzie jest zasada pewności w rzeczach mowy. Jest ona niewątpliwie złożona w duchu samegoż języka, a objawiana we zwyczaju powszechnym, co jest jego naturalnem odbiciem, i gdzie ją łatwiej dopatrzeć można. Ależ na to potrzeba umieć słuchać i umieć czytać; bo człowiek najlepiej mówiący obrazi niekiedy zwyczaj, i z największego pisarza wybrać można przykłady błędów przeciwko językowi; a nic przeto wszystko w języku nie jest niepewnem lub dowolnem. Tylko dobre wyrażenie napotkasz u nich sto razy, kiedy fałszywe nachodzi się raz, przypadkowo, czasem ażeby łatwiej przyjść do zwięzłości lub do harmonii perjodu, czasami u poetów z potrzeby rymu i miary. Wpatrzywszy się w język, zbadać i na jasną wywikłać jego prawa, lub też podsłuchać i oznaczyć zwyczaj narodowy, jest to dwojaki sposób lexykologicznego obrabiania mowy ojczystej, dający powód do traktatów systematycznych lub analitycznych, opartych na samej mocy logicznego wywodu lub na powadze pisarzów. Jednych i drugich celem jest ułatwić całemu społeczeństwu, w krótkim stosunkowo czasie, nabycie świadomości, do której własnym zostawieni usiłowaniom, dochodzimy trudem całego życia.

Nie każdemu dano zbogacać język, nie od każdego przyjmuje on dary. Ale każdy może sam zostać, i dopomódz aby spółcześni mu zostali w rodzinnem podobieństwie z przodkami Bez tego zaś nie ma narodu. Każde pokolenie żyje dla siebie, we wczorajszej przeszłości już nie poznaje się i nie czuje; są tylko przechodne warstwy ludu, co brakiem pamięci i stałości nie potrafią wyrobić swej myśli, ani jej wypowiedzieć przez język i piśmiennictwo.

Dodamy tu parę szczegółów co do wykonania naszej roboty. Mając na uwadze i użytek publiczności, i to aby nie powiększać bezpotrzebnie rozmiarów dzieła, postanowiliśmy takie jedynie wyrazy dokładniej opisywać, które mogą przedstawiać jakąbądź trudność Polakowi. Mozolić się bowiem nad określeniem nazwisk rzeczy powszechnie znanych, a jednako nazywanych po całej ziemi polskiej, jestto rozpychać książkę, bez innego pożytku, prócz że od czasu do czasu mniej zgrabna lub zbyt naiwna definicja może rozśmieszyć czytelnika.»

Linde przy końcu swej wielkiej i znakomitej pracy wywoływał życzeniami i błogosławieństwy nowy słownik doskonalszy, jakiego już sam nie mógł stworzyć. Linde wiedział, że podobne dzieło które wywoływał, pojęte i dokonane w całym swoim ogromie, jest zawsze nawet u ludów najbardziej rozmiłowanych w swym języku, najwięcej ucywilizowanych, wyłącznie księgą dla uczonych. Rozumieli to dobrze autorowie słownika berlińskiego i stąd pięknie sie wyrażają o tym, który ma być Słowniku: jest to niby staw zasobowy, z którego zdroje wiadomości rozchodzą się po narodzie kanałami książek elementarnych! Bez pośredników między filologją a ogółem czytających, jej prace są niemal bezowocne dla publiczności. Od lat 30 Słownik Lindego ozdabia półki księgozbiorów, *a nie widać na pismach w ciągu tego okresu pojawiających się, aby co wpłynął na filologiczne ukształcenie narodu.*

Wiec mogli wydawcy lwowscy

1) być pośrednikami pomiędzy filologją a publicznością polską, Nie będą niemi; bo drukując Lindego

2) popełniają anachronizm, nie rozkrywają nowych bogactw mowy polskiej, bo wszelkie dopełnienia ich jeżeli będą, muszą być przypadkowe i niedojrzałe.

Nareszcie

3) marnują piękny kapitał Zakładu nkukowego Ossolińskich, bo kto u nas kupi drugie wydanie Słownika, którego pierwsze wydanie od pół wieku *nie wpłynęło nic na filologiczne ukształcenie narodu.*

A jednak, a jednak, kapitału owego czyżby lepiej, korzystniej użyć nie można? Od lat trzech, czterech obiecują nam także we Lwowie *Monumenta Poloniae historica*, od trzech, czterech lat czekamy wielkiego dzieła napróżno. I to byłby nakład jako nakład stracony, ale jakaż dla dziejów polskich zasługa? Podobno p. Batowski, podjął się łożyć koszt na wydanie tomu pierwszego Monumentów; czemuż zwłoka? Nie stosowniejsze byłoby, gdyby Zakłbd Ossolińskich wystąpił z inicjatywą tak pięknego przedsięwzięcia, nie zaś człowiek prywatny?

Dnia 1go października 1854 roku

Julian Bartoszewicz.

Rozmaitość.

* **Z Tarnowa.** Siewy chociaż późno, przy sprzyjającej pogodzie pokończono. Robotnika dotąd niedostać, lubo na małym dniu nominalna zapłata jest taką, że w mieście rzemieślnik za warsztatem na każdą głowę, przy wiele dłuższej pracy takiej nieotrzymuje. Jest to dowód że właściciele mniejsi potąd jeść co mają, a potrzeby swoje byle niepracować, aż nadto ograniczają. Nie lubią myśleć o jutrze, i dla tego dolce far niente z neapolitańską rezygnacyą odbywają.

Ale zaraza na bydło (księgosusz) w kilku miejscach dotkliwie nas nawiedza. Rząd wedle przepisów komunikacyi wszelkiej przeszkadzą; dodam z mej strony że urzędnicy sanitarni i polityczni energicznie i pilnie wykonanie tego popierają — Cóż to pomoże? kiedy właściciele mniejsi niechcą wierzyć w ten jeden możliwy środek ochronienia nię od strat i nieprzyczyniają się czynnie do ścisłej kontumacyi — Nie bez żalu dorzucę, że niektorzy właściciele więksi niezachęcają swym przykładem do czynu, bez którego końca tej plagi nie dopatrujemy. O tempora o mores! wołamy, jakże to mores w podobnych przypadkach potrzebne. — Jeszcze dotąd »jakoś to będzie» chcemy aby za wszystkie ostrożności wystarczyło.

Towarzystwa nasze rolnicze niechaj raczą klęskę, jaką ziemian rok rocznie od tylu lat prześladuje obliczyć; zapewne uznają iż podatek od bydła mógłby zapóbiedz temu, iżby stanowił fundusz na wypałkowanie całej stajni gdzie się zaraza pokaże, za wynadgrodzeniem słusznem. — O prywatnem stowarzyszeniu niemyśleć, gdyż to, jakby dowolne przystąpienie do niego było zastrzeżonem, między pia desideria, jak towarzystwo ogólowe o którem marzyliśmy, policzyćby potrzeba.

I owszem prośmy wysokiego rządu, aby wszystkich posiadaczów bydła do takiego podatku podciągnięto, i aby zatajenie każdej posiadanej sztuki, oprócz niezapłacenia w przypadku zapałkowania, było karanem; tym sposobem bylibyśmy uwolnieni od klęski, która niejedno gospodarstwo o kilka lat wstecz cofnęła. Wszak każdy kilka grajcarów od sztuki posiadanej chętnie zapłaci, aby był pewnym dobytku przez kilka lat z pracą i kosztem wyhodowanego. Rzuciłem myśl, inicyatywę tej i obrobienie szanownym towarzystwom gospodarskim, pełnomocnikom ziemiaństwa naszego, w najlepszej nadziei poruczamy.

* **Wojna między Murzynami.** Missyonarze opowiadają iż w roku 1852 zacięta wojna wybuchła między Murzynami w Afryce; mianowicie między pogańskim ludem państwa Dahomy i między państwem Yoruby, zamieszkanym powiększej części przez Murzynów do chrześciaństwa nawróconych. Pod miastem stołecznem do Yoruby należącem, Abbeokutą przyszło do stanowczej bitwy. Yorubanie mieli 8000 wojska, nieprzyjaciele ich 10,000 i 6000 kobiet, które były najlepszem ich wojskiem idącem zawsze na czele. Missyonarze udali się na wysoką górę, zkąd przypatrywali się bitwie. Sześć godzin bito się z największą zaciętością. Spiekota była nie do opisania. Dahomanów pobito na głowę. Na pobojowisku zostawili 3,000 trupa. Oprócz tego 1000 wzięto w niewolę. Pod samemi murami miasta padło 1800 trupów, najwięcej kobiet które walczyły zawsze w pierwszych szeregach z największą zaciętością. W miejscu jednem, gdzie bitwa była najgorętsza, missionarz jeden naliczył 80 trupów a między temi tylko pięciu było mężczyzn.

* W niedzielę w sali redutowej teatralnej wyprawi towarzystwo muzyczne wielki koncert. Między innemi wykonany będzie sławny utwor Ludwika Spohra pod tytułem: **Poświęcenie tonów.**

* Do dzisiejszego Nru dołączone są dwie ryciny mód, należące się za drugą połowę listopada. Opis podamy w następnym numerze.

Znaczenie poprzednich szarad. **1. Polityka. 2. Warna.**

Szarada.

Teraz sobie łamcie głowy
Pierwsza z drugą sprzęt domowy,
Trzecia z czwartą rzecz nie nowa
Lecz potrzebna ani słowa.
Przy kosciołach i przy kasach
Przy więzieniach znajdziesz w masach
Wszystko razem masz w osobie
Każden dumny w swym sposobie.

Przyjechali od dnia 5. do 6. Grudnia do Lwowa.

PP. Obertyński Henryk, ze Żółkwi. Hagen Gustaw, br. ze Żółkwi. Kaczorowski Alojzy, z Derewlan Turkuł Tadeusz, z Bełzca. Zaremba Bolesław, ze Żurawnik. Duniewicz Edward, z Nowoszyc.

PP. Tretter Hilary, z Dźwiniacza. Truskolaski Henryk, z Jasinowa. Stopczyński Mikołaj, z Tarnopola. Serwatowski Jan, z Tarnopola. Gojan Grzegórz, z Czerniowiec. Matlachowski Wojciech, ze Złoczowa. Torosiewicz Maurycy, z Ostrowa. Badeni Seweryn, hr. ze Żółkwi. Gołuchowski Antoni, hr. ze Skały. Malczewski Stanisław, z Cześnik. Poniński Kalikst, książę z Cześnik. Wróblewski Józef, z Lubaczowa. Dzieduszycki Kazimierz, hr. z Niesłuchowa. Smarzewski Seweryn, z Hankowic. Lang Ignacy, z Wolicy. Micewski Edward, z Tuczemp.

Wyjechali od dnia 5. do 6. Grudnia ze Lwowa:

PP. Kilanowski Tytus, do Żelechówa. Grocholski Julian, do Manajowa. Wereszczyński Nikodem, do Brzeżan. Dzieduszycki Wacław, hr. do Zborowa.

PP. Serwatowski Wojciech, do Rejtarowic. Załuski Józef, hr. do Jasienicy. Dobrzański Julian i Marcel, do Milatyna. Żarski Kajetan, do Kulawy. Kruszewski Henryk, do Żółkwi.

Kurs telegrafowany z Wiednia 6 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	—	Medyolan za 300 lirów .	123½
Augsburg za 100 złr. .	126¾	Paryż za 300 franków .	146¼
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	126	Srebra agio	—
		Pożyczka 5% 83⅛ 4½	—
Genua.	—	Pożyczka lit. B. . . .	—
Hamburg za 100 tal. banco	93¼	Akcye banku	—
Konstantynopol	—	Kolej północna	1827½
Liwurno	—	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 10	Nowa pożyczka z loteryą	97⅛
Marsylia	—	Pożyczka narodowa . .	86⅛

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 50	złr. 5	kr. 52
Dukat cesarski	« 5	» 55	» 5	« 57
Półimperyał zł. rosyjski	« 10	« —	» 10	« 3
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 56	« 1	» 57
Talar pruski	» 1	« 51	» 1	« 53
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 25	» 1	« 26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	» 86	« 45	» 87	« 17

Obligacye, indemnizacyjne 74. 20 do 74 złr. 35 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Doniesienia.

Paris, rue St. Anne, 64. **London**, 35. Dean street. **Leipzig**, Königsst. 2, **Wien**, Graben, 618.

New-York, 67. Liberty street.

Pränumerations-Einladung auf den VII. Jahrgang 1855.

Brux., rue de la montagne, 40.

IRIS
Prachtvollstes
Pariser Moden-JOURNAL.
Mit **echt französ.** Originalen
Niemals **Copien** oder **Nachstiche.**

IRIS.

4 mal im Monat.

Administration: Gratz, Sporgasse 118.

IRIS
Geschmackvollste
Frauen- & Muster-ZEITUNG.
Mit als **vorzüglich** anerkannten **Musterbogen** und **Patronen.**

Unter mehreren mit Beginne 1855 in's Leben tretenden Vervollkommnungen bemerken wir nur:

☞ 1. Aufgenommene Beiträge von **Original-Novellen** werden anständig honorirt.

☞ 2. Zu Costümbildern des Journals werden **zweimal im Monat**, die Patronen von einer Wiener Künstlerin geliefert, und für **volle Richtigkeit der Schnitte** gebürgt.

☞ 3. Es werden **Preisaufgaben für Damen** gestellt, und für deren gelungenste Lösungen entsprechende gratis Prämien portofrei durch Post übermittelt.

„**IRIS**" erfreut sich gegenwärtig über **5000** Abonnenten, steht unter allen belletristischen derartigen Wochen-Erscheinungen unübertroffen oben an, und es bedarf deren Gehalt keiner weiteren Anpreisung.

Tüchtige in- und ausländische literarische Kräfte unterstützen **Julius von der Traun**, alleinigen Redacteur des belletristischen Hauptblattes; der artistische, mit mehr als 100 prächtigen Kunstbeilagen gezierte Theil wird wie bisher in Paris von Vicomtesse de Renneville, Heloise Leloir, Sajou und Mariton geleitet; die Redaction der geprüften Arbeiten in der „Kunstschule" ist Fräul. **Teresa Marini**, jene der als richtig garantirten Kleiderschnitte Fräulein **Aug. Mayer** von Wien, und die gelungene Ausführung der Musterbogen dem talentirten Lithographen **A. Maschek** anvertraut. Um Vollkommenheit zu erhöhen, haben wir diese neuen Kräfte gewonnen

Die so **allgemein beliebte Pariser Damenzeitung „IRIS"** bringt im Jahre mindestens:

48 color. Original französische Costümbilder, (über 200 Damen- und Kindermoden).
24 color. Original französische Tapisserien und Lingerien, (über 150 entzückende Tupfmuster, Hüte, Häubchen, Krägen, Mantillen u. s. w.)
32 Doppel-Musterbogen (über 1000 Zeichnungen, 25 Wappen, 50 Patronen u. s. w.)
48 Mappen (über 500 weibliche Kunstarbeiten anzufertigen, Toilettenarzt, Hauswirthschaft u. s. w.)
77 Bogen Unterhaltungs-Lektüre, Anzeiger u. s. w.
Musterkarten, Prämien von Büchern und Kunstsachen u. s. w.

Die billigen CM.-Preise für dieses prachtvollste, in 3 Ausgaben erscheinende **Moden-, Muster und Kleider-Magazin** sind für die Ausgabe

	für 1 Jahr	für 6 Monate	für 3 Monate	
Nr. 1 Alles Vorstehende **vollständig** enthaltend:	14 fl. —	7 fl.	3 fl. 30 kr.	franco durch Post.
	12 fl. —	6 fl.	3 fl. — kr.	durch Buchhandlungen.
Nr. 2 eben so, nur 16 color. Kunstblätter weniger:	10 fl. —	5 fl.	2 fl. 30 kr.	franco durch Post.
	8 fl. —	4 fl.	2 fl. — kr.	durch Buchhandlungen.
Nr. 3 eben so, nur 56 color. Kunstblätter weniger:	6 fl. —	3 fl.	1 fl. 30 kr.	franco durch Post.
	4 fl. —	2 fl.	1 fl. — kr.	durch Buchhandlungen.

Bestellungen nimt jede Buchhandlung darauf an; namentlich: **Karl Wild** in Lemberg, Ring 171.

☞ Wöchentlich gewünschte portofreie directe Zusendung durch Briefpost jedoch wolle unter genauer Adressen-Angabe und Beifügung des entfallenden Pränumerations-Betrages franco gemeldet werden «An die

(177. 2—3) **Administration der „IRIS" in Gratz.**

---

(173) **NOWOSCI literackie.** (2—2)

W księgarni **H. W. Kallenbacha** we Lwowie.

Brzegi Wisly od Warszawy do Ciechocinka, przez Oskara Flatta z sześcioma widokami lit. *M. Fajans* i z 2 mapami. w 4ce Warszawa 1854, 5 Złr. 24 kr.

Królodworski rękopism. Zbiór staroczeskich bohaterskich i lirycznych śpiewów, przełożonych przez L. Siemińskiego. Edycya Wacł. Hanki w 12ce w Pradze 1852. 20 kr.

Mann Maur. Podróż na wschód. Tom I. w 8ce Kraków 1854. 3 Złr. —

Pociecha dla dusz chrześciańskich czyli nabożeństwo zaduszne przełożone na język polski przez ks. Zygm. Goliana. w 16ce Kraków 1854. 21 kr.

Żywoty Świętych przez Przyjaciela dzieci w 16ce Gniezno 1854. T. 1

Dzieło to wychodzić będzie w następujących oddziałach:

Oddział		
I.	Żywoty Św.	Dzieci
« II.	«	« Młodzieży
« III.	«	« Sług
« IV.	«	« Rzemieślników
« V.	«	« Żołnierzy
« VI.	«	« Włościan
« VII.	«	« Ojców kościoła
« VIII.	«	« Patronów polskich

każden tomik po 30 kr.

Annales Stanislai Orichovii Okszii, Secundum codicem Gymn. R Thorunensis ed. *T. Comes Działyński.* Adjunximus vitam Petri Kmithae. 8moj. Posnaniae 1854. 4 złr.

DWA FORTEPIANY

jeden nowy, drugi stary do sprzedania lub wypożyczenia, bliższa wiadomość pod Nr. 121 miasto na 3cim piątrze. (178. 2—6)

Obrazy olejno-malowane

słynniejszych malarzy, są do sprzedania z wolnej ręki, we Lwowie w rynku, w kamienicy Pfaffa na trzeciem piątrze. (182. 2—3)

Jest do sprzedania, doskonale urządzony **APARAT FOTOGRAFICZNY** do robienia obrazów słonecznych na metalu, papierze i szkle, wraz z należącemi do tegoż chemicznemi preparatami. Bliższa wiadomość w księgarni pana Kallenbacha. (179. 2—3)

Sprzedaż dębów.

Znajduje się na sprzedaż każdego czasu z wolnej ręki **dębów** zdatnych do budowy, mających średnicy od 15 do 32 cali, sztuk 1000, położonych w lasach **Glinnika średniego**, w obwodzie Jasielskim, o dwie mile od gościńca lwowskiego — Bliższą wiadomość powziąść można u właścicielki tychże, zamieszkałej w Krakowie pod l. 22 w gm. VII. Piasek lub u p. mandataryusza we Frysztaku. (180. 2—2)

☞ **Skład sukni męskich** (137)

Franciszka Bałutowskiego

pod Nr. 323 przy ulicy Nowej,

zaopatrzony został przy nadchodzącej porze jesiennej najświeższemi towarami po najrozmaitszych cenach. Aby dogodzić wszelkim żądaniom, urządzony jest ten skład w ten sposób, iż sukni tak gotowych, jak i zamówionych po niższych i wyższych cenach dostać można.

1. **Surduty wierzchne**, tak zwane **Oberroki**, w cenie od 25 złr. do 50 złr. m. k. różnie, bruxeliną, półsuknem lub całe jedwabiem podszyte.
2. **Bundy do podróży** z grubego sukna, bardzo trwałe i nieprzemakające, od 25 złr. do 30 złr. m. k.
3. **Paletoty** do ciała przystające, od 20 złr. do 30 złr. m. k.
4. **Profetki** jakoteż **Karbonarki**, watowane lub dwustronne od 20 złr. do 35 złr. m. k. i to w każdym kolorze, w jakim sobie kto życzy.
5. **Pantalony** rozmaite, od 8 złr. do 14 złr. m. k.
6. **Kamizelki** pliszowe aksamitne, od 8 złr. do 12 złr.; axamitne od 6 złr. do 12 złr., wełniane zimowe ad 4 złr. 30 kr. do 7 złr. lżejsze od 3 złr. 30 kr. do 5 złr. m.

Osoby mieszkające na prowincyi potrzebują jedynie przesłać do tego składu objętość korpusu swego pod pachami, z uwagą, czy budowa jest zwyczajna, regularna, lub w czem się od regularnej różni. Wedle systemu krawiectwa francuskiego podług tego skrojona będzie suknia, za której stósowne zrobione skład ręczy. (10—10)

(188)

* * *

1854. **Listopad.**

Świątynia małżeństwa.

Zakład ten istniejący dopiero od 6. miesięcy (dla wszystkich narodów) liczy już przeszło 200 wpisanych. Wpisali się do tego zakładu osoby z wszystkich kantonów Szwajcaryi, Galicyi, Badeńskiego, Czech, Saxonii, Bawarii, Wirtenbergu, Prus, Włoch, Anglii, Austryi i Francyi, których majątek razem dochodzi kilku milionów. Między niemi znajdują się córki i wdowy wszystkich stanów, profesyoniści, artyści, professorowie, kupcy, właściciele domów, kawiarń, hotelów, dóbr, fabryk, lekarze, aptekarze, budowniczy, kapitaliści, prawnicy, radcy gmin policyjni i miejscy, wysocy urzędnicy biurowi i od kolei żelaznych, kantonowi i federacyjni, oficerowie, kapitanowie parowych statków i dyrektorowie kolei żelanych, dowódcy wójsk książęcych, oficerowie cesarsko-francuskiej legii honorowej i t. d.

Zgłoszenia wraz z portretami odbierane są frankowanemi listami pod adresą B. B. poste restante w Bernie, Paryżu, Sztutgardzie i Algierze. **Dyrekcya.**

(157) **Uwiadomienie o nauce tańcu.** (3—3)

Podpisany ma zaszczyt uwiadomić niniejszem, iż udziela gruntownej

nauki wszystkich tańców towarzyskich

według nowej metody pospiesznej;

równie uczy nowych

Pepita Kadrylów,

które ostatniego karnawału w Paryżu i Wiedniu powszechnie były ulubione.

Podpisany zobowiązuje się nauczyć każdego pojedynczego tańca towarzyskiego

w przeciągu 6. godzin

z zadowoleniem szanownych P. T. uczęszczających.

Nowa ta metoda uczenia tańcu, wynalazku pana **Raab'a**, balet mistrza w Wiedniu, zasługuje na polecenie także dla dzieci, będąc prościejszą jak dawniejsza, przyczem się szczególnie uważa na postawę i obroty ciała.

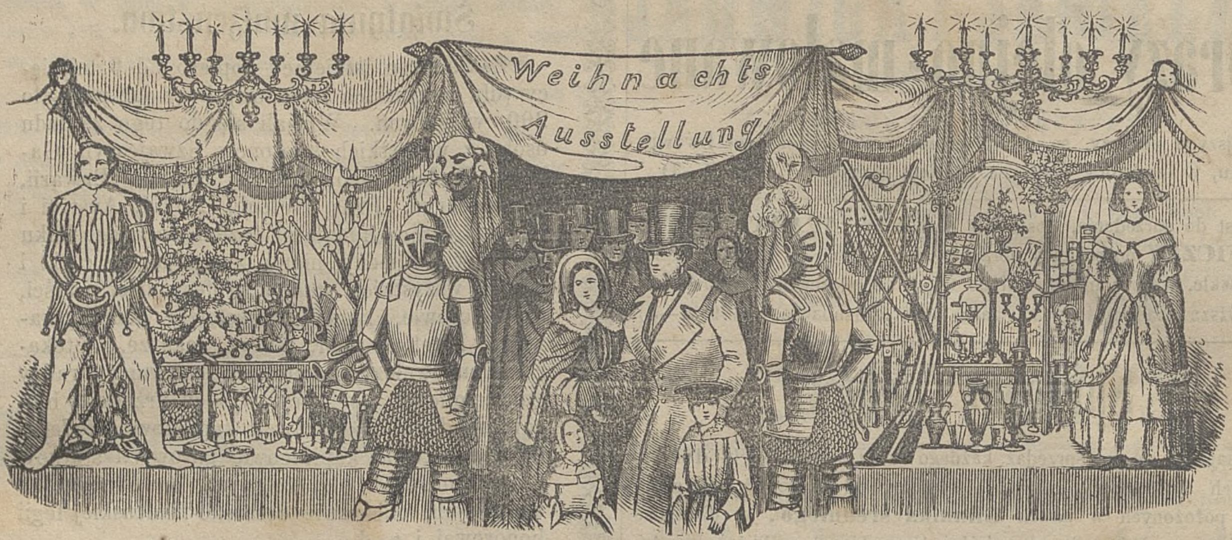
Życzący sobie w osobnych lub też w zebranych towarzyskich godzinach korzystać z tej nauki, raczą się zgłosić do podpisanego.

Karol Kannet,
aktor i nauczyciel tańców;
mieszka przy targowicy drzewa, Nr. 620⁵/₄ na dole, po lewej.

KUCHNIA ANGIELSKA z lanego żelaza z dwoma rurami i kociołkiem na wodę, bardzo mało używana jest tanio do nabycia. Bliższą wiadomość udzieli handel Frydryka Schubutha synów, Ulica krakowska Nro 150. (170 3—3)

(183) W handlu towarów galanteryjnych i norymbersko-drobiazgowych (1—4)

Michała Dymeta we Lwowie
„pod Nadzieją“



dostać można

KOLENDY

w obfitym wyborze, zacząwszy od pierwszych zabawek dla dzieci-niemowląt, tak stopniowo do każdej pory wieku dziecinnego stósownych, w cenie od jednego grajcara aż do kilku reńskich.

---

(174) Nowo otworzona (2—3)

Cukiernia
Jana Wałęgowskiego

na placu Śgo Ducha w kamienicy pod liczbą 42 w mieście, poleca się szanownej publiczności z najlepszemi i najświeższemi wszelkiego rodzaju cukierkami i ciasteczkami i tak zwanemi babkami bądź to do kawy bądź to do czekolady, szczególnie z karmelkami, flegmę rozwalniającemi doktora Akermana; te karmelki przechodzą co do przyjemnego smaku wszystkie inne dotąd znane wyroby cukiernicze: oprócz tych znajdują się także karmelki lukrecyowe z gumą.

Z napojów i chłodników dostać można każdej chwili; orszady, czekulady, ponczowej essencyi, araku, prawdziwych francuskich likworów i lodów.

Także przyjmuje zamówienia na wszystkie rodzaje tortów, ciast i cukrów jak najlepszych za ceny bardzo umiarkowane.

Lwów 19. Listopada 1854.

Realność do sprzedania
lub do wynajęcia na czas dłuższy

Realność na syxtuskiej ulicy pod Nr. 100 ²/₄ składająca się z pięciu domów, z których dwa jednopiętrowe, i ogródków, mająca razem 19 pokoi, 4 kuchnie, stajnie na 40 koni, komorki i piwnice, przytem wyszynk intratny, jest z wolnej ręki do sprzedania lub do wynajęcia na czas dłuższy. Ta realność szczególnie przydatna na fabrykę lub inne przedsiębiorstwo. Bliższej wiadomości udziela księgarnia Kallenbacha. (163) (5—6)

Dr. Pattison's englische Gichtwatte

ist ein vorzügliches **Heilmittel** gegen alle **gichtischen Leiden**, seien sie am **Arm, Hals, Rücken, Fuss** oder an den **Haenden**, sowie gegen **Zahnschmerzen.**

Dieselbe ist bedeutend billiger, als alle ähnlichen Mittel und kann bezogen werden von dem **Hauptdepot** für **Deutschland, Frankreich** und die **Schweiz** bei Herrn **E. Ring**, in **Schaffhausen.**

In **Lemberg** ist dieselbe per Stück à **1 fl. 15** kr. C.M. vorräthig bei:

W. Willmann,

Dra. Pattisona angielska wata od gośćca

wyborny środek od wszystkich **reumatycznych i gośćcowych cierpień**, czy to w **ramieniu, szyi, krzyżach, w nodze** lub **ręce** równie jak i od bolu zębów.

Jest nierównie tańsza od wszystkich podobnych środków, sprowadzana być może dla **Niemiec, Francyi, Szwajcaryi** od pana **E. Ringk w Szafhuzie.**

We Lwowie dostać jej można sztuka po 1 złr. 15 kr. m. k. u pana

W. Willmanna.

(187. a 1—3.)